



Juliusz Verne
SZKOŁA ROBINSONÓW



ISBN 978-83-65753-24-3



Juliusz Verne



SZKOŁA ROBINSONÓW

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

Czterdziesta ósma publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Tytuł oryginału francuskiego: *L'École des Robinsons*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2018

51 ilustracji, w tym 3 kolorowe: Léon Benett
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a

Wydanie I

© Wydawca: JAMAKASZ

ISBN 978-83-65753-24-3

Wstęp

Kolejny raz Juliusz Verne powraca do swego ulubionego tematu – robinsonady, czyli życia rozbitków na bezludnej wyspie. Tym razem całą historię traktuje z przymrużeniem oka, skazując na samotnicze życie znudzonego życiem młodzieńca i jego francuskiego nauczyciela tańca i dobrych manier. Aby nawiązanie do *Przypadków Robinsona Crusoe* Daniela Defoe było jeszcze wierniejsze, dosyła im „Piętaszka” w postaci czarnoskórego Carefinotu, który staje się ich służącym, niewolnikiem i pomocnikiem. Że wszystko wydaje się takie na niby, takie mało prawdopodobne? Zakup wyspy, podejrzana katastrofa, makiety zwierząt, fałszywy służący? To przecież *humbug* w czystej postaci, tak ładnie rozwinięty przez Verne’a w tej powieści.

Autor nie poprzestaje jednak na żartobliwym prowadzeniu akcji, lecz stara się także przekazać inne, poważniejsze przesłania. Jest to chęć pokazania, że w pewnych warunkach, kiedy trzeba samemu radzić sobie w życiu, kiedy człowiek zostaje zmuszony do podejmowania samodzielnych decyzji, nawet zblazowany młodzian może stać się porządnym, rozsądnym człowiekiem, potrafiącym dostrzec uroki życia, dojrzewa do zrozumienia, że energicznym, odważnym, racjonalnym postępowaniem można bardzo wiele zyskać w oczach innych ludzi.

Takie poglądy są charakterystyczne dla dzieł francuskiego pisarza w jego młodzieńczym i średnim wieku, kiedy zachowywał wiarę w pozytywne skutki postępu i wiarę w ludzi, które zatracił pod koniec życia, złamany chorobą i kalectwem, kiedy to nadawał swoim utworom pesymistyczny wydźwięk.

We Francji powieść ukazała się po raz pierwszy w „Magazynie Edukacji i Rozrywki” w roku 1882, drukowana w odcinkach od numeru 409 (1 stycznia) do numeru 437 (1 grudnia). W tym samym roku pojawiły się wydania książkowe: 9 września bez ilustracji, 13 listopada pierwsze wydanie ilustrowane 51 rysunkami Léona Benetta, oraz 17 listopada podwójne wydanie razem z powieścią *Zielony promień*.

W Polsce do tej pory ukazało trzynaście wydań tej powieści. Pierwszy przekład Joanny Belejowskiej pojawił się w „Przyjacielu Dzieci” w latach 1882-1883 i nosił tytuł *Szkoła Robinsonów*. W roku 1925 pojawił *Robinson amerykański*, a w 1931 *Na bezludnej wyspie. Powieść awanturyczna*.

Obecne wydanie jest tłumaczeniem francuskiego tekstu z pierwszego wydania powieści i zawiera wszystkie 51 ilustracji Léona Benetta.

Życzę przyjemnej lektury
Andrzej Zydorczak



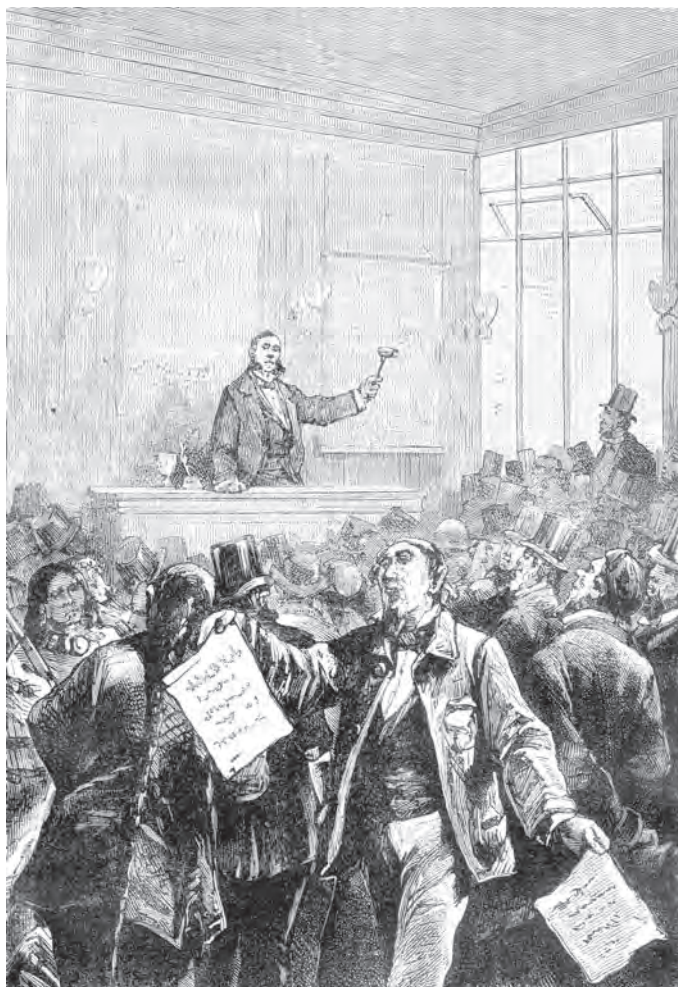
Rozdział I

W którym czytelnik znajdzie, jeśli tylko zechce, okazję zakupu wyspy na Oceanie Spokojnym

– Wyspa na sprzedaż, za gotówkę, plus koszty! Kupi ten, kto da najwięcej i ostatni podbije cenę! – raz po raz, nie pozwalając sobie nawet na złapanie tchu, powtarzał licytator Dean Felporg, przedstawiając warunki tej osobiwej sprzedaży w sali aukcyjnej.

– Wyspa na sprzedaż! Wyspa na sprzedaż! – jeszcze głośniej krzyczał wywoływacz Gingrass, przechadzając się tam i z powrotem wśród rozgorączkowanego i podnieconego tłumu.

Istotnie, w wielkiej sali domu aukcyjnego stojącego przy ulicy Sacramento pod numerem dziesiątym panował niesłychany tłok. Zgromadziła się tam nie tylko dość duża liczba Amerykanów z Kalifornii, Oregonu i Utah, lecz także wielu Francuzów, stanowiących blisko szóstą część ludności tej ziemi, ponadto Meksykanów zawiniętych w swoje *sarapes*¹, Chińczyków w tunikach z szerokimi rękawami, w szpiczastych pantoflach i stożkowatych kapeluszach, Kanaków² z Oceanii, a nawet kilku spośród Czarnych Stóp, Grubych Brzuchów, Płaskich Głów, przybyłych znanz brzegów rzeki Trinity.

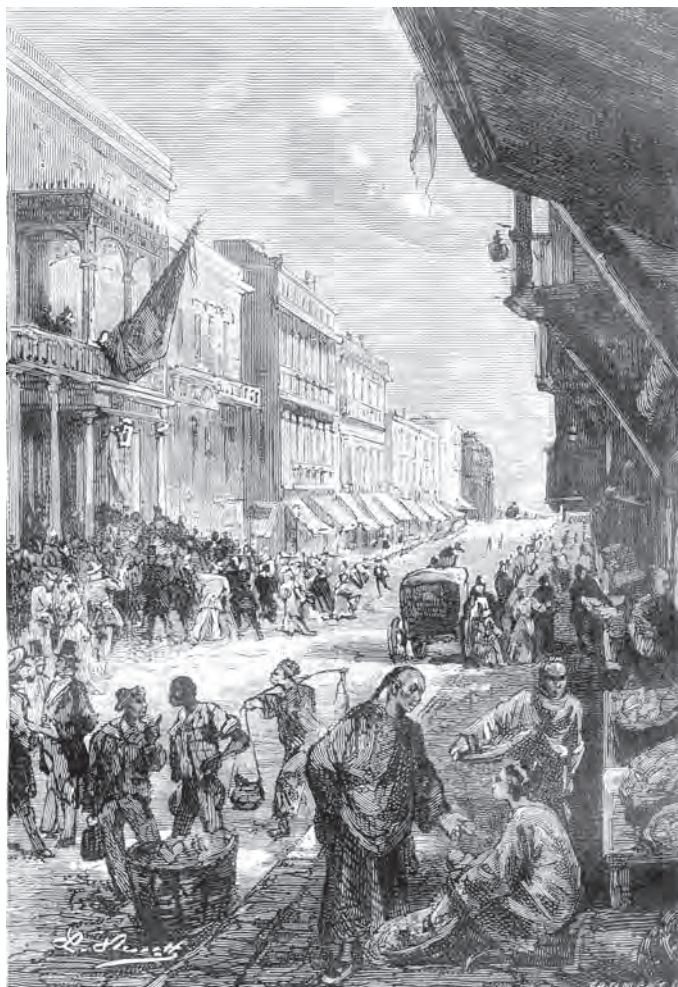


¹ *Sarape* – wełniany koc używany przez mężczyzn w Meksyku jako okrycie wierzchnie.

² *Kanak* (z hawajskiego kanaka, człowiek) – w XIX wieku pejoratywne określenie tubylczych mieszkańców Oceanii, później ograniczone do mieszkańców Melanezji, a obecnie Nowej Kaledonii.

Spiesznie dodajemy, że cała rzecz rozgrywała się w stanie Kalifornia, w San Francisco, jednak nie w latach 1849-1852, kiedy eksploatacja nowych placarów³ zwabiła tu poszukiwaczy złota z Dwóch Światów⁴. San Francisco nie było już bowiem wtedy tym, czym było początkowo: miejscem postoju, oboznią, w której na jedną noc zatrzymywali się awanturnicy spieszący ku złotonośnym terenom położonym na zachodnich stokach Sierra Nevada. Od dwudziestu lat miejsce starego, nieznanego miasteczka Yerba Buena⁵ zajmowało miasto jedyne w swym rodzaju, liczące sto tysięcy mieszkańców. Z powodu braku miejsca na płaskim wybrzeżu miasto to rozsiało się na grzbietach dwóch pagórków. Wszystko jednak przemawiało za tym, że wkrótce rozbuduje się aż do najdalszych krańców pogórza. San Francisco szybko zdetronizowało takie miasta, jak Lima, Santiago, Valparaiso i wszystkie inne rywalizujące o pierwszeństwo na Zachodzie. Amerykanie uczynili je królową Pacyfiku, „chwałą Zachodniego Wybrzeża”.

Owego dnia, a było to piętnastego maja, panował jeszcze dotkliwy chłód. W tej krainie, wystawionej bezpośrednio na oddziaływanie prądów podbiegunowych, pierwsze tygodnie maja przypominają raczej drugą połowę marca w środkowej Europie. Jednak w publicznej sali licytacyjnej nie odczuwano niskiej temperatury. Nieustający odgłos dzwonu ściągał tłumy publiczności, toteż w lokalu panowała atmosfera tak upalna, że czoła obecnych pokryły się kroplami potu, które na zewnątrz od razu by zamarzły.



³ Placer – złoża okruchowe, termin stosowany zwłaszcza do bogatych złóż okruchowych złota, ale także diamentów, granatów, żelaza, rubinów czy szafirów.

⁴ Z Dwóch Światów – to znaczy ze Starego i Nowego Świata, jak nazywano Europę i Amerykę.

⁵ Yerba Buena – taką nazwę (z hiszp. „Dobre Ziolo”) nosiło San Francisco w latach 1846-1847.

Nie należy jednak sądzić, że wszyscy tłoczący się i zapewniający salę aukcyjną ludzie przybyli tu z zamiarem przystąpienia do licytacji. Śmiem nawet twierdzić, że w większości kierowali się jedynie ciekawością. Któż byłby tak szalony, aby nie będąc dość bogatym, kupować wyspę na Oceanie Spokojnym, wystawioną na sprzedaż wskutek dziwnego pomysłu rządu? Mówiono wręcz, że przetarg wcale się nie rozpocznie, bo nie znajdzie się amator na licytowany obiekt. I naprawdę nie było w tym winy publicznego wywoływacza, który okrzykami, gestykulacją, wykorzystując najbardziej wabiące metafory jarmarcznej reklamy, starał się zachęcić klientów.

Odpowiadano śmiechem, ale nikt nie przedkładał oferty.

– Wyspa, wyspa na sprzedaż! – raz po raz powtarzał Ginggrass.

– Kto dałby się na to złapać? – zawołał jakiś Irlandczyk, który w kieszeni nie miał nawet tyle, żeby zapłacić za kamyk na tej wyspie.

– Wyspa, która przy osiągnięciu ceny wywoławczej nie kosztowałaby nawet po sześć dolarów za akr⁶! – wołał licytator Dean Felporg.

– I która nie przynosiłaby ani jednej ósmej procenta! – zripostował gruby farmer, znający się doskonale na produkcji rolniczej.

– Wyspa, która ma nie mniej niż sześćdziesiąt cztery mile⁷ obwodu i dwieście dwadzieścia pięć tysięcy akrów powierzchni!

– A czy przynajmniej jej podstawy są wystarczająco mocne? – zagadnął pewien Meksykanin, stały bywaliec barów, którego osobista stabilność w tym momencie wydawała się całkowitym zaprzeczeniem solidności.

– Wyspa z dziewiczymi jeszcze lasami – powtarzał wywoływacz – z łąkami, wzgórzami, strumykami...

– Zagwarantowane? – krzyknął jakiś Francuz, który wydawał się jednak mało skłonny, aby chwycić przynętę.

– Tak, zagwarantowane! – odrzekł licytator Felporg, zbyt doświadczony, by mogły go wyprowadzić z równowagi złośliwe docinki publiczności.

– Na dwa lata?

– Aż do końca świata!

– A nawet jeszcze dłużej!

– Wyspa na wyłączną własność! – krzyczał wywoływacz. – Wyspa bez jednego złego zwierzęcia, bez drapieżników i bez gadów!

– Czy także bez ptaków? – krzyknął jakiś żartowniś.

– I bez owadów? – dorzucił inny.

– Wyspa dla tego, kto da najwięcej! – wołał niezrażony Dean Felporg. – Dalejże, obywatele! Trochę odwagi i sięgać do trzosa⁸! Kto chce mieć wyspę w dobrym stanie, prawie nieużywaną wyspę na Oceanie Spokojnym, tym oceanie oceanów? Do nabycia za bezcen! Za jeden milion sto tysięcy dolarów! Czy ktoś da milion sto tysięcy dolarów...? Kto tam coś mówi...? Czy to pan? Ten pan, co tam w głębi sali kiwa głową jak mandaryn z porcelany...? Mam wyspę...! Wyspę do sprzedania...! Kto chce kupić wyspę?

– Pokaż pan ten obiekt! – krzyknął jakiś głos, jak gdyby chodziło o obraz lub chińską wagę.

Cała sala wybuchnęła śmiechem, lecz wciąż jeszcze nikt nie ofiarowywał ani pół dolara.

Jakkolwiek licytowany przedmiot nie mógł przechodzić z ręki do ręki, by go dokładniej obejrzano, to jednak istniał plan wyspy, dostępny dla wszystkich. Amatorzy mogli się w ten sposób dowiedzieć, co myśleć o tym kawałku ziemskiego globu wystawionym na licytację. Nie należało się przeto obawiać rozczarowania czy innej przykrości. Z łatwością można było się zapoznać z położeniem, ukształtowaniem terenu, jakością ziemi, siecią hydrograficzną, warunkami klimatycznymi i układem komunikacyjnym. Nie kupowano kota w worku, i czytelnik powinien mi uwierzyć, gdy twierdzę, że oszustwo co do przedmiotu sprzedaży było z góry wykluczone. Zresztą już od wielu miesięcy niezliczone czasopisma Stanów Zjednoczonych, również te z Kalifornii – dzienniki, tygodniki, dwutygodniki, miesięczniki, przeglądy, magazyny i biuletyny – nie przestawały zwracać uwagi społeczeństwa na wyspę, której licytację ustalono przez głosowanie podczas obrad Kongresu.

⁶ *Akr* – jednostka miary powierzchni gruntów używana w krajach anglosaskich, wynosząca około 4047 m².

⁷ *Mila* – jednostka długości; mila angielska lądowa równa jest 1609 m; mila morska to 1852 m.

⁸ *Trzos* – woreczek na pieniądze.

Była to Wyspa Spencera, leżąca w zachodnio-południowo-zachodniej części zatoki San Francisco, w odległości mniej więcej czterystu sześćdziesięciu mil morskich od wybrzeża Kalifornii, na 32° 15' szerokości północnej i 142° 18' długości zachodniej od południka Greenwich.

Trudno byłoby zaiste wymyślić bardziej izolowane położenie tego kawałka lądu. Chociaż Wyspa Spencera leżała niezbyt daleko od kontynentu i znajdowała się, że tak powiem, na wodach amerykańskich, to jednak była położona poza wszelkim ruchem żeglugowym i szlakami handlowymi. Właśnie w tej okolicy regularne prądy, przepływające poprzecznie na północ lub na południe, utworzyły rodzaj jeziora o spokojnych wodach, nazywanego niekiedy „Wirem Fleurieu’ego”⁹.

Pośrodku tego ogromnego wiru, niemającego określonego kierunku, leżała Wyspa Spencera. Niewiele statków tamtędy przepływało. Wielkie drogi Oceanu Spokojnego, łączące Nowy Świat ze Starym, czy to wiodące do Japonii, czy do Chin, leżą bardziej na południe. Żaglowce, które znalazłyby się w obrębie Wiru Fleurieu’ego byłyby narażone na długotrwałą ciszę, a parowce, które zawsze obierają najkrótszą drogę, nie mają żadnego powodu, żeby pływać w tym rejonie. Wobec tego ani jedno, ani drugie nie przybywają, aby się zapoznać z Wyspą Spencera, która wznosi się tam niby samotny szczyt jednej z podwodnych gór, jakich nie brak na Oceanie Spokojnym. Dla kogoś pragnącego uniknąć światowego zgiełku, szukającego spokoju w samotności, nie mogło doprawdy istnieć nic lepszego od tej opuszczonej wyspy, oddalonej od stałego lądu o kilka setek lig¹⁰. Dla Robinsona z wyboru byłoby to wprost wymarzone miejsce pobytu! Tyle że należało za nie zapłacić.

Dłaczego jednak Stany Zjednoczone chciały się pozbyć wyspy? Czyżby przez kaprys? Nie. Wielki naród nie może sobie pozwalać na kaprysy, jak to czynią osoby prywatne. Z powodu swego położenia Wyspa Spencera była już od dłuższego czasu terenem zupełnie bezużytecznym. Kolonizacja nie dałaby żadnych pozytywnych efektów. Wyspa nie nadawała się do celów wojskowych, gdyż dominowała zaledwie nad zupełnie pustą częścią Oceanu Spokojnego. Z punktu widzenia interesów handlowych również nie posiadała znaczenia, ponieważ jej płody nie pokryłyby nawet kosztów frachtu¹¹, ani w jedną, ani w drugą stronę. Nie można było na niej założyć kolonii karnej, gdyż leżała zbyt blisko wybrzeży kontynentu. Wykorzystanie jej do jakichkolwiek celów byłoby zatem przedsięwzięciem zbyt kosztownym. Od niepamiętnych czasów leżała więc odłogiem. W związku z tym Kongres, w skład którego wchodziłi ludzie wybitnie praktyczni, postanowił wystawić wyspę na licytację, z tym jednym tylko zastrzeżeniem, że nabywca musi być bezwarunkowo obywatelem wolnej Ameryki.

Ponieważ nie zamierzano oddać wyspy za darmo, ustalono cenę wywoławczą na milion sto tysięcy dolarów. Dla towarzystwa finansowego, które zakupiłoby ten obszar i jakoś go eksploatowało, cena taka byłaby zwykłą drobnostką, o ile oczywiście można by liczyć na pewne korzyści. Ale nie będziemy jeszcze raz powtarzać, że żadnych korzyści nie należało się spodziewać. Fachowcy nie przywiązywali do tego skrawka Stanów Zjednoczonych wagi większej niż do jakiegokolwiek nieznannej wysepki zagubionej w podbiegunowych lodach. Z kolei dla osoby prywatnej cena była bądź co bądź poważna. Musiałby to więc być człowiek bogaty, który mógłby pozwolić sobie na taką fantazję, niedającą ani jednej setnej procenta zysku! Co więcej, musiałby być nawet ogromnie bogaty, gdyż trzeba było od razu zapłacić gotówką – *cash*, jak mówią Amerykanie – a jak dotąd nawet w Stanach Zjednoczonych niełatwo znaleźć obywatela, który nosiłby przy sobie milion sto tysięcy dolarów, i w dodatku chciał je wrzucić do wody bez nadziei ich odzyskania.

A jednak Kongres był stanowczo zdecydowany nie sprzedawać wyspy poniżej ustalonej ceny, wynoszącej milion sto tysięcy dolarów! Ani centa mniej, albo Wyspa Spencera nadal pozostanie własnością Stanów Zjednoczonych.

Należało więc przypuszczać, że nikt nie będzie na tyle szalony, by się zdecydować na wyłożenie takiej kwoty.

Poza tym wyraźnie zastrzeżono, że nabywca – o ile się taki znajdzie – nie może nosić tytułu króla Wyspy Spencera, lecz tylko prezydenta republiki. Nie będzie mu też przysługiwało prawo posiadania poddanych, lecz tylko współobywateli, którzy wybieraliby go co pewien czas, lecz mogliby również wybrać go na czas nieograniczony. W każdym razie nie wolno mu było założyć dynastii panującej. Stany nie pozwoliłyby przegniły na położenie fundamentów pod królestwo, choćby nie wiadomo jak małe, w obrębie wód amerykańskich.

⁹ Charles Pierre Claret, hrabia de *Fleurieu* (1738-1810) – francuski odkrywca, hydrograf i polityk, minister marynarki za czasów Ludwika XVI, członek Instytutu Francuskiego; brat botanika Marca Antoine Louisa Clareta de la Tourette’a.

¹⁰ *Liga* (z fr. lieue) – dawna francuska miara odległości, po wprowadzeniu miar metrycznych uznana za odpowiednik dokładnie 4 km.

¹¹ *Fracht* – wynagrodzenie należne przewoźnikowi morskemu za przewóz ładunku; także sam ładunek.

Zastrzeżenie prawdopodobnie miało powstrzymać od kupna wyspy jakiegoś ambitnego milionera lub częściowo zrujnowanego nababa¹², pragnących współzawodniczyć z królami dzikich plemion wysp Sandwich¹³, Markizów, Tuamotu¹⁴ czy innych archipelagów Oceanu Spokojnego.

Jednym słowem, jakikolwiek mógł być powód, to jednak nie zjawiał się żaden amator. Godziny mijały, wywoływacz nie mógł już złapać tchu od ustawicznego wykrzykiwania i zachęcania do licytacji, licytator zdał sobie gardło, a znikąd nie pojawiło się owo kiwnięcie głową, które na pewno z niesłychaną bystrością zostałyby zauważone przez szanownych agentów. Ba, nikt nawet nie wymienił ceny wywoławczej.

Trzeba powiedzieć, że chociaż młotek nie męczył się podnoszeniem powyżej blatu biurka, to zgromadzeni ludzie także nie byli zmęczeni długim oczekiwaniem. Dowcipy padały to z tej, to z owej strony, rubaszne żarty obiegały salę. Jedni ofiarowali za wyspę dwa dolary wraz z kosztami, inni żądali, by zwrócić im pieniądze, jeśli nabędą wyspę.

Ciągle było słycać głos wywoływacza:

– Wyspa na sprzedaż! Wyspa na sprzedaż!

Nikt nie zamierzał kupować.

– Czy daje się gwarancję, że są tam złote piaski? – zapytał kupiec korzenny z Merchant Street.

– Nie – odparł licytator. – Gwarancji się nie daje, ale nie jest wykluczone, że istnieją, a państwo odstępuje nabywcy wszystkie prawa do tych złotonośnych terenów.

– To może znajdzie się tam przynajmniej jakiś wulkan? – rzucił Oakhurst, właściciel baru z ulicy Montgomery'ego.

– Nie, nie ma wulkanu! – odparł Dean Felporg. – Z wulkanem wyspa kosztowałaby więcej.

Słowa te wywołały głośny śmiech.

– Wyspa na sprzedaż! Wyspa na sprzedaż! – ryczał Gingrass, na próżno nadwyrężając sobie płuca.

– Tylko dolar, pół dolara, cent powyżej ceny wywoławczej, i przysądzę... – zawołał po raz ostatni licytator. – Po raz pierwszy! Po raz drugi...!

Kompletna cisza.

– Jeśli się nikt nie zgłosi, zamykam licytację...! Po raz pierwszy! Po raz drugi...!

– Milion dwieście tysięcy dolarów!

Te cztery słowa zagrzmiały w sali jak cztery strzały z rewolweru. Całe zgromadzenie umilkło na chwilę, a wszystkie głowy zwróciły się ku zuchwalcowi, który śmiał wymienić taką sumę. Zuchwalcem tym był William W. Kolderup z San Francisco.



¹² *Nabab* – dawny zarządca prowincji lub władca księstwa w Indiach, potocznie: bogacz, krezus.

¹³ *Sandwich* – obecnie Hawaje.

¹⁴ *Tuamotu* – u J. Verne'a: Pomotou.

Rozdział II

W którym dowiemy się, jak William W. Kolderup z San Francisco zmagał się z J.R. Taskinarem ze Stocktonu

Żył kiedyś człowiek ogromnie bogaty, który liczył miliony dolarów tak, jak inni liczą tysiące. Nazywał się William W. Kolderup.

Uchodził za bogatszego od księcia Westminster, którego dochody wynoszą osiemset tysięcy funtów i który może wydawać dziennie pięćdziesiąt tysięcy franków, a na minutę trzydzieści osiem franków; za bogatszego od senatora Jonesa z Nevady, mającego trzydzieści milionów renty; za bogatszego nawet od samego M. Mackaya, który, mając dwa miliony siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów rocznej renty, może wydawać siedem tysięcy osiemset franków na godzinę, czyli dwa franki i kilka centymów na sekundę.

Nie mówię o drobniejszych milionerach, takich jak Rothschildowie, Vanderbiltowie, książęta Northumberland lub Stewartowie, ani też o dyrektorach potężnego Banku Kalifornijskiego i innych dobrze oprocentowanych osobistościach Starego i Nowego Świata, którym William W. Kolderup mógłby dawać jałmużnę. Zgoła się nie krępując, mógłby wydać milion dolarów, jak ktoś z nas wydaje sto *sou*¹⁵.

Eksploatując pierwsze kopalnie złota w Kalifornii, szanowny ten spekulant położył podwaliny dla swej niezmierzonej fortuny. Był głównym współnikiem szwajcarskiego kapitana Suttera¹⁶, na którego gruntach natrafiono w 1848 roku na pierwszą żyłę kruszcu. Od tego czasu, przy sprzyjającym szczęściu i w inteligentny sposób, brał udział we wszystkich eksploatacyjnych przedsięwzięciach na obu półkulach. Nadzwyczaj śmiały, rzucał się na wszystkie spekulacje handlowe i przemysłowe. Jego niewyczerpane źródła finansowe utrzymywały w ruchu setki hut, a jego statki rozwoziły ich produkty po całym świecie. Bogactwa mnożyły się nie tyle w postępie arytmetycznym, ile wręcz geometrycznym. Mówiono o nim to, co się zwykle mówi o miliarderach – że nie zna nawet dokładnej sumy swego majątku. W rzeczywistości znał ją prawie co do dolara, ale się tym nie chwalił.

W chwili gdy czytelnik poznaje Williama W. Kolderupa, z całym szacunkiem należnym człowiekowi tak „pokaźnemu”, posiadał on dwa tysiące kantorów rozrzuconych po całej kuli ziemskiej; w rozmaitych biurach Ameryki, Australii i Europy pracowało osiemdziesiąt tysięcy jego urzędników i trzysta tysięcy korespondentów; rozporządzał flotą złożoną z pięciuset statków, krążących po wszystkich morzach ku jego korzyści, a na same tylko stemple i znaczki pocztowe wydawał rocznie cały milion. Jednym słowem, był on dumą i chlubą bogatego Frisco – jak pieszczotliwie przezwali Amerykanie stolicę Kalifornii.

Oferty Williama W. Kolderupa niepodobna było traktować niepoważnie. Toteż gdy publiczność zgromadzona w sali licytacyjnej poznała człowieka, który oferował za Wyspę Spencera sto tysięcy dolarów ponad żadaną cenę, wszczął się mimowolny ruch – żarty w jednej chwili ucichły, a zamiast kiepskich dowcipów odezwały się okrzyki zdumienia. Zaczęto nawet krzyżeć: „hurra!”

Po zgiełku zapadła głęboka cisza. Obecni szeroko otwierali oczy i nadstawiali uszu. Gdybyśmy tam byli, również powstrzymalibyśmy oddech, by nie stracić żadnego szczegółu z ekscytującej sceny, jaka mogłaby się rozegrać w razie pojawienia się nowego amatora na wyspę, który stanąłby do współzawodnictwa z Williamem W. Kolderupem.

Czy było to prawdopodobne? Czyżby było to w ogóle możliwe? Nie! Przede wszystkim wystarczyło się przyjrzeć Williamowi W. Kolderupowi, żeby dojść do przekonania, że człowiek ten nigdy się nie cofnie, jeśli w grę będzie wchodzić jego sława finansowa.

Był to rosły, tęgi mężczyzna, o potężnej czaszce, szerokich ramionach, proporcjonalnej budowie ciała – solidna konstrukcja, dobrze połączona śrubami. Nie zwykł nigdy spuszczać dobrodusznym, ale stanowczo patrzącym oczu. Bujne i kędzierzawe, szpakowate włosy okalały mu głowę jak w latach dzieciństwa. Proste linie nosa tworzyły geometrycznie regularny trójkąt prostokątny. Nie miał wąsów. Broda, noszona na sposób amerykański, była szpakowata, gęsta na podbródku i pięła się powyżej warg, dosięgając skroni. Białe zęby

¹⁵ Sou – zdawkowa moneta francuska.

¹⁶ John Augustus Sutter (1803-1880) – Szwajcar, emigrant próbujący zrobić interes na wielkiej farmie była w okolicach Sacramento; złoto odkrył jego pracownik John Marshall podczas budowy tartaku na rzece American, dwudziestego czwartego stycznia 1848 roku.

w symetrycznych szeregach błyszcząły z delikatnie zarysowanych wąskich ust. Była to głowa prawdziwego dowódcy, jednego z tych, którzy podnoszą się podczas burzy i stawiają czoła nawałnicom. Żaden huragan nie zdołałby jej pochylić, tak silnie osadziła się na potężnej szyi, służącej jej za główny filar. W tej bitwie na podbijanie ceny każde jej skinienie z góry na dół oznaczało dodatkowe sto tysięcy dolarów.

Nie mogło być mowy o współzawodnictwie.

– Milion dwieście tysięcy dolarów! Milion dwieście tysięcy dolarów! – wołał licytator z tą szczególną intonacją człowieka, mogącego się wreszcie przekonać, że jego praca nie idzie na marne.

– Jest kupiec ofiarowujący milion dwieście tysięcy dolarów! – powtarzał bez przerwy Gingrass.

– W takim razie bez obawy można ofiarować więcej! – mruknął Oakhurst, właściciel baru. – William Kolderup się nie cofnie!

– Wie doskonale, że nikt nie zaryzykuje! – dodał kupiec korzenny z Merchant Street.

Głośno powtarzane „pst!” zmusiło obu czcigodnych handlowców do zachowania całkowitego milczenia. Publiczność chciała słyszeć każde słowo. Wszystkie serca były przyspieszonym rytmem. Czy ośmieli się podnieść jakiś głos w odpowiedzi na propozycję Williama W. Kolderupa? Tymczasem ten wspaniały człowiek nawet nie drgnął. Wydawał się tak spokojny, jak gdyby cała ta sprawa wcale go nie obchodziła. Najbliżej stojący zauważyli jednak, że jego oczy, niby dwa pistolety nabite dolarami, lada chwila mogły wystrzelić.

– Czy nikt się nie odezwie? – spytał Dean Felporg.

Wszyscy milczeli.

– Po raz pierwszy...! Po raz drugi...!

– Po raz pierwszy...! Po raz drugi...! – powtórzył Gingrass, przyzwyczajony do tego małego dialogu z licytатorem.

– Zamykam licytację!

– Zamykamy licytację!

– Za milion dwieście tysięcy dolarów Wyspę Spencera w kompletnym stanie!

– Za milion dwieście tysięcy dolarów!

– Czy wszystko jasne...? Nie ma wątpliwości?

– Czy nikt nie ma zastrzeżeń?

– Za milion dwieście tysięcy dolarów Wyspa Spencera...!

Podniecenie na sali było ogromne. Czy w ostatniej sekundzie ktoś zaoferuje wyższą cenę?

Licytator Felporg, trzymając prawą rękę nad stołem, potrząsał młotkiem z kości słoniowej. Jedno jedyne uderzenie i obiekt zostałby sprzedany!

Publiczność nie byłaby bardziej zdenerwowana, nawet gdyby zastosowano tutaj prawo Lyncha¹⁷!

Młotek opuszczał się powoli, już niemal dotykał stołu, znowu się podnosił, drżał przez chwilę jak szpada w momencie, gdy szermierz ma zadać decydujące pchnięcie, następnie gwałtownie opadł...

Zanim jednak rozległo się suche stuknięcie, usłyszano wypowiedziane cztery słowa:

– Milion trzysta tysięcy dolarów!

Najpierw przeciągłe „och!” ogólnego zaskoczenia, a następnie przeciągłe „ach!” ogólnego zadowolenia rozległo się w sali. Znalazł się ktoś podbijający cenę. Dojdzie więc do walki!

Kto jednak był tym zuchwalcem ośmielającym się wszcząć walkę na dolary z Williamem W. Kolderupem z San Francisco?

Był nim J.R. Taskinar ze Stocktonu.

J.R. Taskinar odznaczał się nie tylko swoim majątkiem, lecz także olbrzymią tuszą. Ważył czterysta dziewięćdziesiąt funtów¹⁸. W konkursie na najgrubszego człowieka Chicago zdobył dopiero drugie miejsce, ale wyłącznie dlatego, że nie pozwolono mu spokojnie spożyć obiadu, wskutek czego ważył o dziesięć funtów mniej.

Kolos ten, dla którego musiano sporządzać specjalne siedzenia, na których mógłby ulokować swą olbrzymią postać, mieszkał w Stocktonie nad rzeką San Joaquin¹⁹. To jedno z najważniejszych miast Kalifornii. To także jedno z głównych centrów handlowych produktów górniczych Południa, rywalizujące z Sacramen-

¹⁷ *Prawo Lyncha* (prawo linczu) – rodzaj samosądu praktykowany w I połowie XIX wieku w Stanach Zjednoczonych; polegał na pobiciu lub straceniu przez tłum człowieka posądzonego o zbrodnię albo przestępstwo; od nazwiska Charlesa Lyncha (1736-1796), sędziego i farmera.

¹⁸ *Funt* – jednostka wagi, odpowiadająca od 350 do 560 g; tu: funt angielski równy 454 g.

¹⁹ *San Joaquin* – u J. Verne'a: San-Joachim.

to, czyli z centrum handlowym produktów kopalń Północy. Stąd wysyła się też statki wiozące w świat największą ilość kalifornijskiego zboża.



Nie tylko eksploatacja kopalni i handel zbożem dostarczały J.R. Taskinarowi sposobności do zdobycia olbrzymiego majątku. Przez jego kasę przepływała także nafta, niby owa złotodajna rzeka Paktolos²⁰. Poza tym był namiętnym graczem, któremu stale sprzyjało szczęście. Poker, będący niejako ruletką Ameryki Zachodniej, darzył go niezmiennie swą łaską. Mimo jednak całego swego majątku był to człowiek pospolicie, którego z wyraźnym ociąganiem obdarzano słowem „szanowny”, a przecież Amerykanie tak chętnie używają owego przymiotnika. Niemniej jednak był – jak się wyrażano – dobrym koniem bojowym i niewykluczone, że przypisywano mu większą liczbę wad, niż na to zasługiwał. Przeważało też mniemanie, że w razie potrzeby nie zawaha się użyć swego derringera²¹, to jest kalifornijskiego rewolweru.

Jakkolwiek było, J.R. Taskinar żywił szczególną nienawiść do Williama W. Kolderupa. Zazdrościł mu fortuny, pozycji i szacunku. Pogardzał nim tak, jak gruby człowiek gardzi osobnikiem, którego z całą słusznością uważać może za chudego. Zresztą nie po raz pierwszy się zdarzało, że przemysłowiec ze Stocktonu starał się podebrać interes – dobry lub zły – przemysłowcowi z San Francisco, z powodu samej tylko chęci rywalizacji. William W. Kolderup dobrze znał Taskinara i przy każdym spotkaniu traktował go z pogardą, co tamtego doprowadzało do wściekłości.

²⁰ *Rzeka Paktolos* – rzeka w Lidii (starożytna kraina w zachodniej Azji Mniejszej – obecnie Turcja), której piasek obfitował w złoto i srebro; w starożytności źródło bogactwa Lidii, z rzeką wiąże się legenda o królu Midasie.

²¹ *Derringer* – rodzaj pistoletów, z reguły małych, mających od jednej do czterech (najczęściej dwie) luf i dosyć duży kaliber; derringery były popularne na Dzikim Zachodzie ze względu na łatwość ukrycia i dosyć dużą siłę ognia; nazwa od nazwiska amerykańskiego rusznikarza Henry'ego Deringera (1786-1868).

Na dodatek w ostatnich wyborach William W. Kolderup pobił na głowę J.R. Taskinara, czego ten nie mógł rywalowi wybaczyć. Pomimo starań, gróźb, oszczerstw, nie licząc tysięcy dolarów, na próżno roztrwonionych przez jego agitatorów wyborczych, Taskinar przepadł z kretesem, a jego miejsce w Radzie Ustawodawczej miasta Sacramento zajął William W. Kolderup.

Nie wiadomo, jakim sposobem J.R. Taskinar dowiedział się, że William W. Kolderup zamierza nabyć Wyspę Spencera. Wyspa ta była dla niego niewątpliwie tak samo bezwartościowa, jak dla jego współzawodnika. Nie to jednak było ważne. Nadarzała się oto nowa sposobność podjęcia walki z Kolderupem – może zwycięskiej. Czegoś takiego J.R. Taskinar nie mógł sobie odmówić.

Dlatego właśnie przybył do sali aukcyjnej i zmieszał się z tłumem ciekawskich. Nikt nie był w stanie odgadnąć jego zamiarów; on tymczasem przygotował baterie, a przed otwarciem ognia czekał na chwilę, kiedy przeciwnik przebijie cenę wywoławczą, niezależnie od tego, jaką kwotę zalicytuje.

Nareszcie William W. Kolderup wniósł swą ofertę:

– Milion dwieście tysięcy dolarów!

W chwili gdy kupiec z San Francisco już uwierzył, że wygrał licytację i stał się nabywcą wyspy, J.R. Taskinar rzucił donośnym głosem:

– Milion trzysta tysięcy dolarów!

Jak już widzieliśmy, oczy wszystkich zwróciły się w jego kierunku.

– Tłusty Taskinar!

To nazwisko przechodziło z ust do ust. Tłusty Taskinar! Wszyscy dobrze go znali! Jego tusza była częstym tematem artykułów zamieszczanych w czasopismach Stanów Zjednoczonych. Nie jestem całkiem pewien, który to matematyk udowodnił – za pomocą transcendentálnych²² obliczeń – że jego masa była na tyle znaczna, że mogła wpływać na naszego satelitę i zakłócać w znacznym stopniu jego ruch po orbicie.

Jednakże w tej chwili to nie fizyczna budowa J.R. Taskinara skupiała na sobie uwagę publiczności zebranej w sali licytacyjnej. W znacznie większym stopniu podniecał ją fakt, że oto całkiem jawnie i bezpośrednio zamierzał rywalizować z Williamem W. Kolderupem. Zapowiadała się heroiczna walka – dolar przeciw dolarowi – i nie bardzo było wiadomo, która z tych zakładających się kas pancernych okaże więcej werwy. Obaj śmiertelni wrogowie byli przecież ogromnie bogaci! Cała sprawa stawała się zatem kwestią większej lub mniejszej dozy miłości własnej.

Po pierwszym wzburzeniu, które szybko minęło, na sali zapadła cisza tak głęboka, że można byłoby usłyszeć pająka tkającego swą sieć.

Ciężkie i dręczące milczenie przerwał głos Deana Felporga:

– Wyspa Spencera za milion trzysta tysięcy dolarów! – zawołał Felporg i wstał z krzesła, by móc lepiej obserwować kolejność wnoszonych ofert.

William W. Kolderup odwrócił głowę w stronę J.R. Taskinara, a obecni rozstąpili się, żeby zrobić miejsce dwóm przeciwnikom. Człowiek z San Francisco i człowiek ze Stocktonu mogli spojrzeć sobie prosto w oczy i do woli wzajemnie się oglądać. Prawdę mówiąc, nie omieszkali z tego korzystać. Nigdy jeden nie spuściłby wzroku przed drugim.

– Milion czterysta tysięcy! – zawołał William W. Kolderup.

– Milion pięćset! – przebił J.R. Taskinar.

– Milion sześćset!

– Milion siedemset!

Czyż nie przypominało to historii owych dwóch przemysłowców z Glasgow, walczących z sobą o to, który z nich zbuduje w swej fabryce wyższy komin, nie zważając na to, że może to spowodować katastrofę? Tutaj kominami były sztaby złota.

Po każdym podbiciu ceny przez J.R. Taskinara William W. Kolderup zastanawiał się przez chwilę, zanim zaferował nową kwotę. Natomiast J.R. Taskinar postępował odwrotnie: wybuchał raz po raz jak bomba i wydawało się, że nie zamierza się namyślać ani sekundy.

– Milion siedemset tysięcy dolarów! – powtórzył licytator. – Dalej, panowie! To nie jest jeszcze żadna cena! Jakby były darowane za darmo!

Można było przypuszczać, że siłą przyzwyczajenia szanowny Felporg doda: „Sama oprawa jest więcej warta niż to!”.

– Milion siedemset tysięcy! – ryknął wywoływacz Gingrass.

²² *Transcendentalny* – znajdujący się poza zasięgiem ludzkiego doświadczenia i poznawalnego świata.

- Milion osiemset! – zawołał William W. Kolderup.
- Milion dziewięćset! – zripostował J.R. Taskinar.
- Dwa miliony! – krzyknął, tym razem bez namysłu, William W. Kolderup.

Przy tych słowach jego twarz trochę pobladła, całe jednak zachowanie świadczyło o tym, że jest człowiekiem, który nie zamierza rezygnować z walki.

J.R. Taskinar był rozgorączkowany. Olbrzymia jego twarz przypominała czerwoną tarczę sygnalizacyjną kolei żelaznej, nakazującą zatrzymanie pociągu. Było wysoce prawdopodobne, że jego przeciwnik zupełnie nie zwracał uwagi na ten sygnał i dodawał jeszcze więcej pary.

J.R. Taskinar czuł to doskonale. Krew uderzała mu do twarzy, drgającej jak w ataku apopleksji. Grubymi palcami, błyszczącymi od najkosztowniejszych brylantów, przesuwiał po ciężkim złotym łańcuchu, na którym nosił zegarek. Przez chwilę przyglądał się swemu przeciwnikowi, po czym przymknął oczy, by je natychmiast otworzyć, gorejące jeszcze większą nienawiścią.

- Dwa miliony pięćset! – krzyknął wreszcie, przekonany, że tą nadmiernie wygórowaną ofertą położy koniec dalszemu podbijaniu ceny.

- Dwa miliony siedemset! – rzucił bardzo spokojnie William W. Kolderup.
- Dwa miliony dziewięćset tysięcy!
- Trzy miliony!



Tak! William W. Kolderup z San Francisco powiedział: trzy miliony dolarów!

Już miały zabrzmieć entuzjastyczne oklaski, gdy licytator powtórzył ofertę i wydawało się, że młotek wskutek bezwiednego ruchu jego mięśni opuści się szybko ku stołowi. Dean Felporg, choć całkowicie znieczulony na niespodzianki publicznych licytacji, sprawiał wrażenie, że nie będzie się umiał dłużej hamować.

Oczy wszystkich skierowały się na J.R. Taskinara. Okazały osobnik czuł na sobie wszystkie spojrzenia, ale jeszcze dotkliwiej odczuł ciężar trzech milionów dolarów, pod którym zdawał się uginać. Niewątpliwie chciał przemówić, aby podbić cenę, ale nie mógł. Chciał potrząsnąć głową, ale i tego nie był w stanie wykonać.

Nareszcie wydobył głos z krtani, wprawdzie słaby, lecz dostatecznie głośny, by usłyszano ofertę.

– Trzy miliony pięćset tysięcy!

– Cztery miliony! – brzmiała odpowiedź Williama W. Kolderupa.

Było to ostatnie uderzenie maczugą. J.R. Taskinar uległ. Młotek opadł na marmurowy blat stołu...

Wyspa Spencera została kupiona przez Williama W. Kolderupa z San Francisco za kwotę czterech milionów dolarów.

– Jeszcze się zemścę! – mruknął J.R. Taskinar i rzuciwszy na zwycięzcę kolejne pełne nienawiści spojrzenie, wrócił do hotelu.

W uszach Williama W. Kolderupa rozbrzmiewał tymczasem trzykrotny okrzyk: „hip! hip! hurra!”. Wiaty towarzyszyły mu aż do ulicy Montgomery, a entuzjastyczny zachwyt Amerykanów był tak wielki, że całkiem zapomnieli o odśpiewaniu swego *Yankee Doodle*²³.



²³ *Yankee Doodle* – słynna amerykańska piosenka żołnierska z czasów wojny z Anglią o niepodległość Stanów Zjednoczonych, śpiewana przez Anglików w celu wyśmiewania buntowników, którzy wkrótce przejęli ją; w powieści *Z Ziemi na Księżyc* Verne porównuje tę piosenkę z Marsylianką (rozdz. XXVI).

Rozdział III

Czyli rozmowa Phiny Hollaney i Godfreya Morgana przy akompaniamencie fortepianu

William W. Kolderup wrócił do swego pałacu przy Montgomery Street. Ta ulica była dla San Francisco tym samym, czym Regent Street dla Londynu, Broadway dla Nowego Jorku i Boulevard des Italiens dla Paryża. Na całej długości wielkiej arterii, przecinającej miasto równoległe do nabrzeży, panuje ożywiony ruch i toczy się zgiełkliwe życie: niezliczone tramwaje, pojazdy zaprzężone w konie lub muły, spieszący się przechodnie, którzy podążają kamiennymi chodnikami wzdłuż bogato zaopatrzonych sklepów i magazynów oraz jeszcze liczniejsi amatorzy barów, w których sprzedaje się prawdziwie kalifornijskie napoje – oto obraz ulicy Montgomery.

Zbyteczne byłoby opisywanie pałacu nababa z Frisco. Rozporządzając nadmiarem milionów, roztoczył w swej siedzibie nadmiar przepychu. Większy nacisk kładziono tu na komfort niż na estetykę, a względy praktyczne przeważały nad artystycznymi. Wszystkiego było zresztą pod dostatkiem.

Wystarczy jednak powiedzieć czytelnikowi, że był tu wspaniały salon przyjęć, a w tym salonie stał fortepian. W chwili gdy bogacz Kolderup wchodził do swego pałacu, poprzez cieplarnianą atmosferę wnętrza dobiegły go dźwięki instrumentu.

– Dobrze! – rzekł do siebie. – Oboje są tutaj! Zamienię tylko słówko z kasjerem i zaraz będziemy mogli porozmawiać!

Wszedł do swego gabinetu, by załatwić tę drobnostkę, czyli zakup Wyspy Spencera, i więcej o tym nie myśleć. Aby załatwić sprawę, trzeba było tylko zrealizować kilka papierów wartościowych, które miał w portfelu – starczyły na całą zapłatę. Jeszcze tylko cztery linijki skreślone do maklera giełdowego, po czym William W. Kolderup miał się zająć inną „kombinacją”, która bardzo leżała mu na sercu.

Tak! Oboje byli w salonie. Ona przy fortepianie, on w pozycji na w pół leżącej na sofie, rozmarzony i zasłuchany w perliste arpeggia²⁴, wybiegające spod palców tej uroczej istoty.

– Słuchasz mnie? – spytała.

– Naturalnie!

– Zgoda, ale czy rozumiesz, co mówię?

– Czy ciebie rozumiem, Phino? Nigdy jeszcze tak znakomicie nie zagrałaś wariacji z *Auld Robin Gray*²⁵.

– Ależ Godfreyu, ja wcale nie grałam *Auld Robin Gray*, to był *Happy moment*²⁶.

– Och... zdawało mi się... – odparł Godfrey obojętnym tonem, po którym trudno było sądzić, czy się pomylił.

Młoda dziewczyna podniosła ręce i przez chwilę trzymała palce rozpostarte nad klawiaturą, jakby miała zamiar je opuścić i wydobyć akord. Następnie odwróciła nieco swój taboret i przez chwilę przyglądała się Godfreyowi, który starał się uniknąć jej spojrzenia.

Phina Hollaney, sierota, była chrześniaczką Williama W. Kolderupa. Wychował ją, darząc prawem uważania się za jego córkę oraz obowiązkiem kochania go jak ojca. Wywiązywała się z tego należycie.

Phina była młodą osobką, „ładną na swój sposób”, jak powiadano, niewątpliwie miłą, szesnastoletnią blondynką, z poglądami dużo starszej kobiety, jak to można było wyczytać z jej kryształowych, ciemnoniebieskich oczu. Nie pominiemy też okazji, aby przyrównać ją do lilii, gdyż w lepszym towarzystwie często używa się tego słowa na określenie amerykańskich piękności. Była więc lilią, jeśli podoba się wam to określenie, lecz lilią zaszczepioną na silnym i wytrzymałym krzaku dzikiej róży. Niewątpliwie ta młoda miss miała wielkie serce, ale obok serca posiadała także dużo zdrowego rozsądku, była praktyczna i nieco samolubna. Nie ulegała więcej, niż sama tego chciała, czarowi złudzeń i marzeń, właściwych jej płci i wiekowi.

Marzenia są dobre wtedy, kiedy się śpi, ale nie na jawie. Otóż w tej chwili Phina nie spała ani nawet nie miała takiego zamiaru.

²⁴ *Arpeggio* – wykonanie akordu w ten sposób, że poszczególne jego dźwięki bierze się kolejno po sobie w szybkim tempie.

²⁵ *Auld Robin Gray* („Stary Robin Gray”) – ballada napisana w roku 1772 przez lady Annę Barnard (1754-1825), szkocką poetkę, do której muzykę napisał pastor William Leevess; tytuł pochodzi od nazwiska starego, dobrego człowieka, który poślubił młodą dziewczynę, ponieważ jej kochanka uważano za zmarłego, ale ten miesiąc po ślubie zgłosił roszczenia do młodej kobiety.

²⁶ *Happy moment* („Szczęśliwa chwila”) – prawdopodobnie utwór Richarda Schlegelgrella (1825-1906), napisany w roku 1877.

- Godfreyu? - rzekła.
- Słucham, Phino - odparł młody człowiek.
- Gdzie jesteś w tej chwili?



- Przy tobie... w salonie.
- Nie, nie jesteś przy mnie, Godfreyu! Nie w tym salonie... lecz daleko, bardzo daleko... po drugiej stronie oceanu, prawda?

Ręka Phiny, mechanicznie błędząc po klawiaturze, wydobywała szereg akordów septymowych, których melancholijne brzmienie wiele zdradzało. Jednak siostrzeniec Williama W. Kolderupa prawdopodobnie tego nie rozumiał.

Taki był bowiem stosunek pokrewieństwa młodego człowieka do bogatego gospodarza domu. Jako syn siostry nabywcy wyspy, wcześniej osierocony Godfrey Morgan od wielu lat wychowywał się, tak samo jak Phina, w domu wuja. William W. Kolderup był kawalerem; w nieustannej gorączce interesów nigdy nie miał czasu pomyśleć o ożenku.

Godfrey liczył w tej chwili dwadzieścia dwa lata. Niedawno ukończył studia i teraz oddawał się zupełnej beczynności. Mimo dyplomu uniwersyteckiego nie był ani odrobinę rozsądniejszy. Wszystkie drogi życia stały przed nim otworem, mógł pójść na prawo lub na lewo, jak mu się żywnie podobało. Którąkolwiek z dróg by poszedł, zawsze sprzyjało mu szczęście i dopomagał los.

Poza tym młodzieniec prezentował się bardzo elegancko i wytwornie. Nigdy nie spinał swego krawata pierścieniem i nigdy też nie ozdabiał palców, mankietów i gorsu koszuli owymi fantastycznymi klejnotami, które miały takie powodzenie u jego rodaków.

Nikogo nie zaskoczę, mówiąc, że Godfrey Morgan i Phina Hollaney mieli się pobrać. Czy mogło być inaczej? Wszystkie obyczaje i formy towarzyskie zostały dochowane. Przede wszystkim jednak to William W. Kolderup życzył sobie tego małżeństwa. W ten sposób zapewniał swój majątek dwojgu ludziom, których kochał najbardziej na świecie. Nie można naturalnie pomijać faktu, że Phina rzeczywiście podobała się Godfreyowi, a i Godfrey nie był obojętny Phinie. Małżeństwo uprościłoby także prowadzenie księgowości domu handlowego. Zaraz po ich urodzeniu otworzono bowiem dwa osobne konta – jedno dla chłopca, drugie dla dziewczynki. Wystarczyło teraz zamknąć oba rachunki i cały ich stan przenieść na nowe konto pary małżeńskiej. Czcigodny handlowiec miał nadzieję, że to wszystko uda się ostatecznie przeprowadzić i załatwić bez żadnego błędu i przeoczenia.

A jednak, jak się zaraz okaże, przeoczenie, czy może nawet błąd, niestety się zdarzyły.

Błąd ten polegał na tym, że Godfrey nie czuł się jeszcze dojrzały do tak poważnego przedsięwzięcia, jakim jest małżeństwo, a przeoczenie wiązało się z tym, że tego nie przewidziano.

Rzeczywiście, po ukończeniu studiów Godfrey uległ przedwczesnemu przesytowi światem i życiem. Życiem, w którym niczego mu nie brakowało, w którym nie mógł żywić żadnego pragnienia, w którym w ogóle nie miał nic do roboty. Wtedy opanowała go myśl o podróżowaniu po świecie. Powiedział sobie, że wszystkiego już zaznał, prócz podróży. Faktycznie tak było, że Starego i Nowego Świata znał bowiem, prawdę mówiąc, zaledwie San Francisco, w którym się urodził i którego nigdy nie opuszczał, chyba że w sennych marzeniach. Pytam was zatem, czytelnicy, kim byłby młody człowiek, zwłaszcza jeśli był to Amerykanin, gdyby nie odbył parokrotnej podróży dookoła świata? Czy umiałby dobrze postępować w dalszym życiu? Czy wiedziałby, jak się zachować w różnych okolicznościach, gdyby na dłuższą metę odkładał podróż? Czy gdyby nie zakosztował nieco awanturniczego życia, mógłby być choć trochę odpowiedzialny? A poza tym, czyż nie należało do dobrego wychowania młodego człowieka, aby przebył kilka tysięcy lig po to, by coś zobaczyć na świecie i czegoś się nauczyć?

Pod wpływem tych myśli Godfrey od roku rozczytywał się w tak licznych w naszych czasach opisach podróży, a lektura ta wprawiała go w zachwyty. Odkrywał więc Niebiańskie Cesarstwo²⁷ w towarzystwie Marca Polo, Amerykę z Kolumbem, Ocean Spokojny z Cookiem, biegun południowy z Dumontem d'Urville²⁸. Postanowił pójść w ślady tych sławnych podróżników. Jego zdaniem warto było kilkuletnią podróż badawczą opłacić paroma napadami malajskich piratów, zatonięciem statku na pełnym morzu i znalezieniem się na jakimś opuszczonym wybrzeżu, gdzie trzeba byłoby wieść życie Selkirka²⁹ lub Robinsona Crusoe!

Och, Robinson! Zostać Robinsonem! Któryż młodzieniec nie oddawał się marzeniom, czytając – jak może zbyt często czynił to Godfrey – o przygodach, jakich doświadczyli wyimaginowani bohaterowie Daniela Defoe³⁰ czy Wyssa³¹?

W takim oto stanie ducha był siostrzeniec Williama W. Kolderupa w chwili, kiedy jego wuj postanowił, jak powiadają, uwiązać go na łańcuchu poprzez nałożenie więzów małżeńskich. Podróżowanie z Phiną, która wtedy nazywałaby się panią Morgan – nie, to było niemożliwe! Należało odbyć taką podróż samotnie lub jej zaniechać. Czyż zresztą po urzeczywistnieniu swych marzeń Godfrey nie byłby w bardziej odpowiednim nastroju do wstąpienia w związek małżeński? Czy kobieta mogłaby być szczęśliwa z człowiekiem, który nie zwiedził ani Chin, ani Japonii, nie mówiąc już o Europie? Na pewno nie!

Dlatego właśnie Godfrey był taki roztargniony, słuchał obojętnie, co mówiła Phina, i nie ukrywał rozdrażnienia, gdy grała melodie, które zwykle wprawiały go w zachwyty.

²⁷ *Niebiańskie Imperium* – Chińczycy nazywali swój kraj m.in. terminem Tianxia, czyli „To, co znajduje się pod niebem”, a cesarza nazywali Synem Nieba; stąd w Europie używano niekiedy nazwy „Niebiańskie Cesarstwo”, a jego mieszkańców zwano Niebiańczykami.

²⁸ *Marco Polo* (1254-1324) – wenecki podróżnik i kupiec, najwybitniejszy podróżnik europejski okresu średniowiecza; *Krzysztof Kolumb* (1451-1506) – genueński żeglarz w służbie hiszpańskiej, jedna z najwybitniejszych postaci w dziejach odkryć geograficznych i żeglugi, odkrywca Ameryki; *James Cook* (1728-1779) – angielski żeglarz i odkrywca; jedna z najwybitniejszych postaci w historii żeglugi i odkryć geograficznych; *Jules Sébastien César Dumont d'Urville* (1790-1842) – francuski żeglarz, jeden z najwybitniejszych badaczy Oceanii; w latach 1826-1829 i 1837-1840 odkrył wiele wysp w Polinezji oraz Wybrzeże Ludwika Filipa, Wybrzeże Adeli i Wybrzeże Klary na Antarktydzie.

²⁹ *Alexander Selkirk* (1676-1721) – szkocki marynarz, w latach 1704-1709 przebywał na bezludnej wyspie w archipelagu Juan Fernández; pierwowzór bohatera powieści Daniela Defoe *Przypadki Robinsona Crusoe*.

³⁰ *Daniel Defoe* (właściwie Daniel Foe, 1660-1731) – u J. Verne'a: Daniel de Foë, angielski pisarz i publicysta, wybitny przedstawiciel oświecenia, prekursor powieści realistycznej; autor m.in. powieści *Przypadki Robinsona Crusoe* oraz *Dola i niedola sławnej Moll Flanders*.

³¹ *Johann David Wyss* (1743-1818) – szwajcarski pisarz tworzący w języku niemieckim, autor powieści przygodowo-pedagogicznej *Robinson szwajcarski* (czasami pojawia się błędny tytuł wzięty z języka angielskiego: *Szwajcarscy Robinsonowie*).

Phina, dziewczyna poważna i bystra, od razu to zauważyła. Gdyby ktoś powiedział, że nie była z tego powodu choć trochę przygnębiona i zirytowana, skłamałby niepotrzebnie. Ponieważ jednak przyzwyczaiła się patrzeć na sprawy od ich pozytywnej strony, powiedziała sobie:

„Skoro koniecznie musi odbyć podróż, to lepiej, by uczynił to przed ślubem!”

Dlatego wypowiedziała do Godfrey'a te słowa proste, a tak bardzo znaczące:

„Nie...! W tej chwili nie jesteś przy mnie, lecz po drugiej stronie oceanu”

Godfrey wstał. Nie patrząc na Phinę, podszedł parę kroków, a jego palec wskazujący bezwiednie uderzył w klawisz fortepianu. Zabrzmiało niskie „des”, ton poniżej oktawy; ton żalony, odpowiadający jego nastrojowi.

Phina zrozumiała i bez zbędnej dyskusji przyparła narzeczonego do muru, chcąc pomóc mu uczynić wyłom, którym mógłby wyfrunąć tam, dokąd go niosła fantazja – gdy w tej właśnie chwili otworzyły się drzwi salonu.

Wszedł William W. Kolderup, jak zwykle trochę zajęty swoimi myślami. Zakończył właśnie jeden kupański interes, a już zabierał się do następnego.

– A zatem chodzi już tylko o ustalenie ostatecznej daty – oświadczył.

– Daty? – powtórzył Godfrey, lekko zadrżawszy. – Jakiej daty, wuju, jeśli wolno spytać?

– Daty waszego ślubu! – odparł William W. Kolderup. – Przypuszczam, że nie chodzi o datę mojego ślubu!

– Być może on byłby pilniejszy! – zauważyła Phina.

– Co...!? Jak to!? – zawołał wuj. – Co to ma znaczyć? Mówimy przecież o końcu bieżącego miesiąca, nieprawdaż?

– Kochany ojciec chrzestny – odezwała się dziewczyna – teraz nie chodzi o ustalenie daty ślubu, lecz daty wyjazdu!

– Wyjazdu...?

– Tak, wyjazdu Godfrey'a – potwierdziła miss Phina. – Godfrey'a, który przed zawarciem związku małżeńskiego chciałby zobaczyć trochę świata!

– Ty chcesz wyjechać... ty?! – wykrzyknął William W. Kolderup, podchodząc do młodego człowieka i chwytając go za ramię, jak gdyby obawiał się, że „ten szelma siostrzeniec” gotów mu drapnąć z miejsca.

– Tak, wuju Willu! – dzielnie potwierdził Godfrey.

– Na jak długo?

– Na osiemnaście miesięcy, najwyżej na dwa lata, jeżeli...

– Jeżeli...?

– Jeżeli ty, wuju, na to pozwolisz, a Phina zechce na mnie tak długo czekać!

– Czekać na ciebie! Patrzcie na tego narzeczonego, któremu zachciewa się czmychnąć! – zawołał William W. Kolderup.

– Należy pozwolić Godfreyowi wyjechać – stanęła w obronie narzeczonego Phina. – Kochany ojciec chrzestny, wszystko już dokładnie rozważyłam. Jestem młoda, ale w istocie Godfrey jest jeszcze młodszy ode mnie! W podróży szybko dojrzeje, dlatego myślę, że nie powinniśmy przeciwstawiać się jego upodobaniom. Skoro chce podróżować, to niech podróżuje! Później poczuje potrzebę odpoczynku i powróci, żeby się ze mną spotkać.

– Co?! – krzyknął William W. Kolderup. – Zgadzasz na wypuszczenie tego lekkoducha?

– Tak, na dwa lata, jak tego żąda.

– I będziesz na niego czekać...?

– Wuju Willu, gdybym nie potrafiła na niego czekać, to by znaczyło, że go nie kocham!

To powiedziawszy, Phina ponownie usiadła do fortepianu, i czy zrobiła to rozmyślnie, czy też nie – spod jej palców dobiegła cichutka melodia modnego wówczas utworu *Pożegnanie narzeczonego*, który niezmiernie pasował do okoliczności. Phina jednak – być może nie zdając sobie nawet z tego sprawy – grała go w tonacji a-moll, podczas gdy utwór napisano w tonacji A-dur. Nastrój melodii zmienił się w związku z tym radykalnie, a jej żalony zabarwienie dobrze oddawało głębokie uczucia dziewczyny.

Tymczasem Godfrey stał zmieszany i milczał. Wuj ujął jego głowę w obie ręce, obrócił ją do światła i przez chwilę uważnie mu się przyglądał. W ten sposób, bez słów, zadał mu pytanie, a Godfrey równie milcząco na nie odpowiedział.

Wciąż brzmiały jeszcze melancholijne dźwięki *Pożegnania narzeczonego*. W końcu William W. Kolderup obszedł dookoła salon i zatrzymał się przed Godfreyem, który stał przed nim niby winowajca przed sędzią. Następnie, podnosząc głos, zapytał:

– Czy chcesz tego całkiem poważnie?

– Bardzo poważnie – odpowiedziała miss Phina, a Godfrey tylko potakująco skinął głową.

– *All right*³²! – rzekł William W. Kolderup, obrzuciwszy siostrzeńca dziwnym spojrzeniem. Potem dodał przez zaciśnięte zęby: – Ach, chcesz zakosztować podróży przed poślubieniem Phiny! W porządku! Już ty jej popróbujesz, drogi siostrzeńcze!

Zrobił jeszcze kilka kroków, zatrzymał się przed Godfreyem i skrzyżowawszy ramiona, zapytał:

– Dokąd chcesz jechać?



– W świat!

– A kiedy zamierzasz wyruszyć?

– Kiedy wuj zechce.

– Zgoda! – odparł William W. Kolderup. – Zatem możliwie jak najszybciej!

Przy tych ostatnich słowach Phina nagle przestała grać. Mały palec jej lewej ręki dotknął właśnie „gis”, a czwarty palec jeszcze nie zdecydował, jakim tonem podnieść napięcie. Przystanąła na półtonie, tej „tkliwej nucie”, podobnie jak Raoul w *Hugenotach*, kiedy przy końcu duetu ucieka z Valentine³³.

Serce Phiny zapewne ścisnęło się żalem, lecz mimo to postanowiła nie odzywać się ani słowem.

Wówczas William W. Kolderup, nie patrząc na Godfreya, zbliżył się do fortepianu.

– Phino – rzekł poważnym głosem – nigdy nie powinnaś kończyć „tkliwą nutą”! – I swoim grubym palcem uderzył mocno w jeden z klawiszy, wydobywając naturalne „la”.



³² *All right* (ang.) – dobrze, w porządku.

³³ *Raoul, Valentine* – Raoul de Nangis i Valentine de Saint Bris, bohaterowie opery *Hugenoci* Giacoma Meyerbeera (1791-1864).

Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!